Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. V 1 LUTY 1928 Nr. 3

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH"

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

ENCYKLIKA

MORTALIUM ANIMOS *O PANCHRZEŚCIJANIZMIE.*

W święto Trzech Króli ukazała się Encyklika *Mortalium animos*, którą podajemy poniżej w obszernem streszczeniu.

Wywołały ją wysiłki podjęte przez akatolików w celu zjednoczenia wszystkich chrześcijan, bez względu na różnice dogmatyczne w ich wierzeniach. Zwoływano kongresy czyto w Sztokholmie, czy w Lozannie, z których podawaliśmy naszym Czytelnikom obszerne sprawozdanie. Ojciec św. w swej encyklice zwraca przedewszystkiem uwagę na niebezpieczeństwa płynące z indyferentyzmu religijnego, i przypomina, że zjednoczenie chrześcijaństwa nie dojdzie nigdy do skutku inaczej, jak przez powrót dysydentów do jednego prawdziwego Kościoła.

Na wstępie stwierdza Ojciec św., że może nigdy jeszcze nie starano się tak, jak w dzisiejszych czasach, o nawiązanie stosunków braterskich między wszystkiemi ludami. Podobnym ożywieni duchem usiłują niektórzy porozumienie takie nawiązać także na polu religijnem. W przekonaniu, że niezmiernie rzadko istnieją ludzie pozbawieni wszelkich uczuć religijnych, twierdzą oni, że ludy, chociaż bardzo się różniące w swych wierzeniach religijnych, mogą mimo to porozumieć się bez trudności co do pewnych zasad, jako wspólnych podstaw dla życia duchowego. W celu osiągnięcia tego porozumienia zwołuje się kongresy, zebrania, konferencje, na których wolno dyskutować wszystkim, i niewiernym wszelkich stopni i chrześcijanom, a nawet tym, którzy niegodnie zaparli się Chrystusa, lub z nieprzejednanym uporem przeczą boskości jego Osoby i posłannictwa. Wysiłków takich nie mogą oczywiście popierać katolicy, skoro opierają się one na fałszywej teorji, uważającej wszystkie religje za dobre i pochwały godne, dlatego, że wszystkie, choć w różny sposób, mają wypowiadać i okazywać to wrodzone ludziom uczucie, które nas wiedzie do Boga i do

pokornego uznania Jego władzy. Otóż zwolennicy tej teorji nie tylko się mylą i w błąd popadają, ale nawet odrzucają prawdziwą religję, i pacząc jej pojęcie, prowadzą stopniowo do naturalizmu i ateizmu; stąd jasno wynika, że kto sprzyja takim teorjom, ten oddala się zupełnie od religji przez Boga objawionej.

Ale nigdy łatwiej nie wprowadza się błędu pod fałszywemi pozorami dobra, niż wtedy gdy mówi o jedności między chrześcijanami. Mówi się o tem, że wszyscy, którzy wzywają imienia Chrystusa, powinni wstrzymać się od wzajemnych wyrzutów i łączyć się więzami ogólnej miłości, że będzie to wypełnieniem życzenia Jezusa Chrystusa, który prosił Ojca, by wszyscy Jego uczniowie „byli jedno“, że właśnie własnością wyróżniającą Jego uczniów od innych ludzi ma być to, „by się wzajemnie miłowali“ i dodaje się, że dałby Bóg, by wszyscy chrześcijanie tworzyli „jedno“, gdyż pomogłoby to do usunięcia zarazy niewiary, która Ewangelji grozi ruiną. Takiemi i tym podobnemi argumentami posługują się ci, którzy nazywają siebie *panchrześcijanami*; utworzyli oni organizacje szeroko rozgałęzione, pod przewodnictwem przeważnie akatolików, bez względu na znaczne różnice pod względem wiary. Pod ich zwodniczemi słowami kryje się jednak ważny błąd, który zupełnie podkopuje podstawy wiary katolickiej.

Swiadomi więc Naszego urzędu apostolskiego, nie możemy dozwolić na omamienie trzody Pańskiej zwodniczemi fałszami, i zwracamy Waszą uwagę, Czcigodni Bracia, na to wielkie niebezpieczeństwo.

...Bóg, Stwórca Wszechświata, stworzył nas na to, byśmy Go znali i służyli Mu; ma On więc pełne prawo do tego, byśmy Mu służyli... Bóg mógł był równie dobrze nadać człowiekowi jedynie prawa natury jako przepisy postępowania, wolał nam jednak podać reguły postępowania, i Sam nas w ciągu wieków poucza o obowiązkach, które łączą istoty rozumne z ich Stwórcą. Stąd wynika, że nie może być innej prawdziwej religji, jak ta, która się opiera na Objawieniu boskiem, podanem czyto w Starym czy w Nowym Testamencie. Jeśli więc Bóg przemówił — a że przemówił rzeczywiście, o tem świadczy historja, — jest rzeczą jasną, że obowiązkiem człowieka jest wierzyć bezwzględnie objawieniu Boga i słuchać we wszystkiem Jego nakazów: a na to właśnie, byśmy jedno i drugie dobrze wypełniali, na chwałę bożą a nasze zbawienie, założył Jednorodzony Syn Boga Swój Kościół na ziemi. Kto się więc uważa za chrześcijanina, nie może nie wie-

rzyć w ustanowienie jednego jedynego Kościoła przez Chrystusa; ale gdy się zapytać, jakim ten Kościół wedle woli Swego Założyciela być powinien, wtedy już nie wszyscy są jednego zdania. Wielu naprzykład twierdzi, że Kościół nie powinien być społecznością widzialną, a powinien być jedynie towarzystwem, złożonem z różnych społeczności chrześcijańskich, pomimo to, że wierzenia tych społeczności różnią się między sobą, a nawet są między sobą sprzeczne. Tymczasem Chrystus, Pan nasz, ustanowił Swój Kościół jako społeczność doskonałą, co do jej natury zewnętrznej i podpadającej pod zmysły, którаby poprowadziła dalej dzieło zbawienia rodzaju ludzkiego, pod kierownictwem jednej głowy (*Mat.* XVI. 18), przez urząd nauczycielski ustny, (*Mar.* XVI. 15), przez szafowanie Sakramentami, źródłami łask niebieskich (*Jan* III. 5). Taki Kościół, tak cudownie ustanowiony, po śmierci Swego Założyciela i Apostołów, którzy go pierwsi rozszerzyli, nie mógł w żaden sposób przestać istnieć i zgasnąć, a to dlatego, że mu zostało powierzone zadanie prowadzenia do zbawienia wiecznego wszystkich ludzi, bez różnicy czasu i miejsca: *Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody* (*Mat.* XXVIII, 19). A nieustannie mu w tem pomaga sam Chrystus, według obietnicy zawartej w słowach: *Oto ja jestem z Wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata.* (*Mat.* XXVIII. 20).

A więc koniecznie musi nietylko Kościół Chrystusowy istnieć, dziś, jutro i zawsze, tak samo jak za czasów apostolskich, chyba, żebyśmy chcieli powiedzieć — co jest niedorzecznem — że albo Jezus Chrystus nie wypełnił Swego posłannictwa, albo że się pomylił, gdy mówił, że bramy piekielne nigdy nie przemogą Jego Kościoła (XVI, 18).

I tu nadarza się sposobność wyjaśnienia i zbicia fałszywego mniemania, od którego pochodzi, zdaje się, całe obecne zagadnienie, a zarazem cała różnorodna akcja akatolików, pracujących jak wspomnieliśmy nad zjednoczeniem kościołów chrześcijańskich.

Zwolennicy tej akcji nieustannie przytaczają słowa Chrystusa o jedności i miłości, jednak w tem znaczeniu, jakoby te słowa wyrażały pragnienie i modlitwę Chrystusa jeszcze nie spełnioną. Twierdzą oni, że jedność wiary i rządów, charakterystyczna dla prawdziwego i jedynego Kościoła Chrystusa, nigdy nie istniała, a i obecnie nie istnieje; w przyszłości zaś chociaż przy dobrej woli wiernych dałaby się urzeczywistnić, pozostanie je-

dnak zawsze jedynie marzeniem. Twierdzą dalej, że Kościół sam przez się i z natury swej, podzielony jest na części, to znaczy, składa się z bardzo wielu kościołów lub społeczności, które mają kilka wspólnych punktów w dziedzinie wiary, a różnią się co do innych, że Kościół był jednym i jedynym najwyżej za czasów Apostołów, aż do pierwszych soborów ekumenicznych. Dziś, twierdzą oni, powinno się odrzucić wszystkie punkty sporne, a z pozostałych doktryn utworzyć wspólną normę wiary; w wyznawaniu jej wszyscy będą mogli się czuć braćmi, a związane takim układem, obejmującym wszystkich, będą mogły różne te kościoły przeciwstawić się skutecznie postępom niewiary. Mówi się także, że protestantyzm niebacznie odrzucił niektóre artykuły wiary i kultu zewnętrznego, ale dodaje się, że Kościół rzymski dodał kilka artykułów wiary, nietylko nieznanych, ale przeciwnych Ewangelji, a takim jest przedewszystkiem artykuł odnoszący się do prymatu jurysdykcji, nadany Piotrowi i jego następcom na Stolicy rzymskiej. Wprawdzie są i tacy, którzy przyznają biskupowi rzymskiemu pewien prymat czci lub pewną władzę, i jakąś juryzdykcję, ale nie z prawa bożego, tylko dla ogólnej zgody wiernych; inni znowu pragną, by ten biskup rzymski stanął na czele ich najróżniejszych zgromadzeń, pragnęliby oni chętnie rokować z Kościołem Rzymskim, ale na jednakich prawach, jak równy z równym.

Oczywiście Stolica Apostolska na takich warunkach w żaden sposób nie może uczestniczyć w tego rodzaju układach, ani też nie mogą katolicy brać udziału lub pomagać takim wysiłkom. Chodzi tu bowiem o obronę prawdy objawionej. Jezus Chrystus rozesłał po całym świecie Apostołów, by prawdy Ewangelji nauczyć wszystkie narody, aby zaś zachować ich od błędu, chciał przedewszystkiem przez Ducha świętego nauczyć ich każdej prawdy; a czyż ta nauka Apostołów się kiedykolwiek zaćmiła lub kiedykolwiek zniknęła z tego Kościoła, którym sam Bóg kieruje i którego strzeże? A jeśli Zbawiciel nasz jasno powiedział, że Jego Ewangelja tyczy się nietylko okresu Apostołów, ale także przyszłych wieków, czyż mógł przedmiot wiary w ciągu wieków stać się tak niejasnym i niepewnym, by dziś musiano tolerować nawet zdania między sobą sprzeczne? Gdyby to było prawdą, trzebaby również powiedzieć, że zesłanie Ducha św. na Apostołów i nieustanne pozostawanie tegoż Ducha w Kościele

a nawet i słowa Jezusa Chrystusa w ciągu wieków straciły wszelką skuteczność i pożyteczność, a utrzymywać tak byłoby bluźnierstwem. A przytem Jednorodzony Syn Boga nietylko nakazał swym wysłańcom nauczać wszystkie narody, ale żądał, by wszyscy ludzie uwierzyli prawdom, które im podawali *świadkowie przedtem przygotowani* (*Dzieje Apost.* X, 41), a do przepisu tego dodał sankcję, że *kto uwierzy i ochrzci się, zbawion będzie, a kto nie uwierzy, będzie potępiony.* (*Marek* XVI, 16).

Podwójnego tego nakazu Chrystusa, mianowicie nauczania i wierzenia, by mieć żywot wieczny, nie możnaby zrozumieć, gdyby Kościół nauki ewangelicznej nie podawał w całości i w sposób widzialny, oraz gdyby przy nauczaniu jej nie był wolny od wszelkiego niebezpieczeństwa błędu. Dlatego bardzo się oddala od prawdy, kto przyznaje wprawdzie, że na ziemi istnieje depozyt wiary, ale uważa, że by go znaleźć i dosięgnąć, trzebaby go szukać tak ciężką pracą, takiem długoletniem wytężeniem i dysputami, że zaledwie wystarczałoby życie jednego człowieka na to znalezienie go i cieszenie się nim; tak jakby, Bóg Najdobrotliwszy przemawiał za pośrednictwem proroków i Syna Jednorodzonego na to, by tylko niewielu i to ludzi podeszłych w latach, poznawało prawdy objawione — a nie na to, by dać ludziom prawdy wiary i moralności, które mają kierować człowiekiem w przeciągu całego jego życia.

Mogłoby się wydawać, że ci *panchrześcijanie*, zajęci zjednoczeniem kościołów, dążą do najszlachetniejszego celu pobudzania miłości wśród wszystkich chrześcijan, ale kiedyż to miłość wychodzi na szkodę wiary? Nikomu zapewne nie jest niewiadomem, że ten sam Apostoł Miłości, św. Jan, który zwykł był nieustannie wpajać uczniom nowe przykazanie, *miłujcie się wzajemnie*, zabronił bezwzględnie utrzymywania stosunków z tymi, którzy nie wyznają zupełnej i nienaruszonej nauki Chrystusa: *Jeśli kto przychodzi do was, a tej nauki nie przynosi, nie przyjmujcie go do domu, ani mu, Daj zdrów, mówcie.* (II *Jan* 10).

Tak więc, skoro miłość opiera się jak na podstawie na wierze całkowitej i szczerej, muszą uczniowie Chrystusa być zjednoczeni przedewszystkiem więzami jedności wiary. Jakżeby zaś można pojąć społeczność chrześcijańską, której członkowie mieliby w sprawie wiary każdy własny swój sposób myślenia i sądzenia, sprzeczny z przekonaniem innych?

Nie wiemy, w jaki sposób możnaby przygotować drogę do utworzenia jedności Kościoła przy tak wielkich różnicach w wierzeniach; ale wiemy bardzo dobrze, że z tej różnorodności jest tylko krok do indyferentyzmu religijnego i do tak zwanego modernizmu; nieszczęśliwi jego zwolennicy twierdzą, że prawda dogmatyczna nie jest absolutna, lecz jest względna, to znaczy, że się stosuje do różnych potrzeb, czasów i miejsc, i do różnych dążności duchowych, dlatego, że nie opiera się na niezmiennem objawieniu, ale na swej przystosowalności do życia.

Przytem w materji wiary nie wolno wyszukiwać różnicy między artykułami podstawowemi i nie podstawowemi, jakoby pierwsze mieli przyjmować wszyscy, a co do drugich istniała wolność przyjmowania; skoro bowiem cnota nadprzyrodzona wiary ma za przedmiot formalny autorytet Boga objawiającego, to takie rozróżnienie jest niedopuszczalne. Tak naprzykład wszyscy chrześcijanie tak samo wierzą w dogmat Niepokalanego Poczęcia jak w tajemnicę Trójcy Przenajśw., tak samo we Wcielenie Słowa jak w nieomylność Papieża Rzymskiego, oczywiście w znaczeniu, sformułowanem przez ekumeniczny sobór watykański. Czyż bowiem nie Bóg objawił wszystko?

...Jest więc jasnem, Czcigodni Bracia, że Stolica Apostolska nie pozwoliła nigdy katolikom mieszać się do kongresów akatolickich, nie wolno bowiem dążyć do zjednoczenia chrześcijan inaczej, jak przez pomaganie dysydentom do powrotu do jedynego prawdziwego Kościoła, od którego oni się kiedyś nieszczęśliwie oddalili; powrotu do tego jedynego prawdziwego Kościoła Chrystusowego, który przecież jest dla wszystkich widoczny i z woli swego Założyciela musi zawsze pozostać takim, jakim On Sam go ustanowił, ku zbawieniu wszystkich. Ta bowiem mistyczna Oblubienica Chrystusa w ciągu wieków pozostaje zawsze nieskalana, wedle pięknych słów Cyprjana *(Ep. 48 ad Cornelium 3)*. Jak bowiem mistyczne ciało Chrystusa, mianowicie Kościół, jest *jednem*, (I Kor. XII. 12), *złożonem i spojonem* (Ef. IV. 16). na wzór Jego ciała fizycznego, byłoby rzeczą niedorzeczną i głupią, gdyby ktoś powiedział, że ciało mistyczne może się składać z członków rozdzielonych i rozłączonych. Ktokolwiek więc nie jest z niem połączony, nie jest jego członkiem, i nie jest zjednoczony z Jego Głową, którą jest Chrystus.

W tym jedynym Kościele Chrystusa niema nikogo, ani też

nikt nie może wytrwać, ktoby nie uznawał i nie był posłusznym najwyższemu autorytetowi i władzy Piotra i jego prawnych następców. Czyż mu nie byli posłuszni przodkowie tych, których obałamuciły błędy Focjusza i protestantów? Ale choć synowie opuścili dom rodzinny, nie rozpadł się on z tego powodu, podtrzymywany nieustannie pomocą bożą. Niechże więc powrócą do wspólnego Ojca, a ten, zapominając o krzywdach wyrządzonych dawnymi czasy Stolicy Apostolskiej, przyjmie ich z największą miłością. Jeśli, jak słychać, pragną się połączyć z Nami i Naszymi, czemuż się nie pospieszą z przystąpieniem do Kościoła, „matki i mistrzyni wszystkich wyznawców Chrystusa?". (Sobór Lat. IV. c. 5).

...Niechże więc synowie dysydenci przystąpią do Stolicy Apostolskiej, która została założona w mieście, uświęconem krwią książąt Apostołów, Piotra Pawła, jednak nie w tem usposobieniu, ani nadzieji, by *Kościół Boga żywego*, *filar i utwierdzenie prawdy* (I *Tym.* III. 15) ustąpił czegoś z całości wiary i tolerował ich błędy, lecz by się poddać Jego urzędowi nauczycielskiemu i Jego kierownictwu. Oby Bóg dał, byśmy zobaczyli to, co tylu Naszym poprzednikom nie było danem ujrzeć, byśmy mogli objąć sercem ojcowskiem synów, których odłączenie opłakujemy, oby Bóg, Zbawiciel Nasz, *który chce*, *aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszli do uznania prawdy* (I. *Tym.* II. 4), raczył wysłuchać gorące nasze modlitwy, oby zechciał wezwać wszystkich zbłąkanych do jedności Kościoła. W ważnej tej sprawie obieramy sobie za Orędowniczkę Najśw. Marję Pannę, Matkę Łaski Bożej, zwyciężczynię wszystkich herezyj i Wspomożenie wiernych, by nam czemprędzej uprosiła ów dzień tak upragniony, w którym wszyscy słuchać będą głosu Jej boskiego Syna, *zachowując jedność ducha w związce pokoju* (*Ef.* IV 3).

HEROIZM KATOLIKÓW MEKSYKAŃSKICH.

Wiadomości dochodzące nas z Meksyku dowodzą, że katolicy tamtejsi heroicznemi wysiłkami stawiają opór prześladowaniu. Rzadko stamtąd przybywające listy przynoszą szczegóły, w jaki sposób starają się oni utrzymać wśród siebie wiarę i gorliwość. Jeden z biskupów, który potrafił się utrzymać w ukryciu, donosił, że przez cały miesiąc październik wszyscy gorliwie

odmawiali różaniec, zbierając się w tym celu publicznie, a na wezwanie urządzenia tygodnia pokutnego odpowiedzieli katolicy z ogromnem zrozumieniem. Nawet dzieci szkolne, pisał ów biskup, chciały podczas owego tygodnia pościć, a przynajmniej jeść pożywienie swoje bez soli, a lud dobrowolnie nałożył sobie najróżniejsze umartwienia. Święto Chrystusa Króla obchodzono z ogromnem nabożeństwem. W dzień Matki Boskiej z Guadelupy przybyło około 200.000 osób (opisujemy to na innem miejscu) do Jej kościoła, dowodząc w ten sposób fałszywości oświadczeń rządu, który ogłaszał, że duch religijny wymarł w Meksyku.

Inne listy okazują, że świeccy w miarę sił starają się zastępować umęczonych i ściganych kapłanów, by utrzymać płomień życia religijnego. W pewnej katedrze wierni zbierają się co niedzielę, by wspólnie odczytywać modlitwy. Gdzieindziej znowu schodzą się czyto w domach prywatnych, czy nawet pod gołem niebem, otaczając czasem gęstem kołem kapłana, który się zjawia, by słuchać spowiedzi, odprawić Mszę św., udzielać Komunji św. W pewnej wsi obchodzono w ten sposób uroczyście święto Chrystusa Króla Mszą św., którą odprawiono w polu o godzinie 4 rano. Gdzieindziej znowu we wilję Wszystkich Świętych w nocy pewien kapłan wyspowiadał trzysta osób, poczem odprawił Mszę św. Następnej niedzieli ochrzcił 16 dzieci. Zaledwie dokończył tej ceremonji, schwyciła go policja i po brutalnem zmaltretowaniu rozkazała mu opuścić natychmiast okolicę.

Inny znowu ścigany kapłan donosi swemu biskupowi, będącemu na wygnaniu, że od 24 września do Wszystkich Świętych nie miał ani chwili spokoju. Pomimo to w święto Matki Boskiej Łaskawej rozdał Komunję św. czterystu osobom, a przez cały dzień urządził wystawienie Najśw. Sakramentu, który odwiedziło około tysiąca osób. „W dzień św. Rafała — pisze on dalej — udało mi się zebrać 1.500 osób na polu i rozdać 800 Komunij św. Te prace rozpoczynam co sobotę wieczór i trwa ona całą noc“. We wilję święta Chrystusa Króla pięciuset ludzi przebyło z tym kapłanem noc na adoracji Najśw. Sakramentu.

„Choć prześladowanie jest straszne — pisze pewna katoliczka do jednego biskupa — nie opuścimy naszej religji. Przeciwnie, gorliwość ludu wzrasta, a trudności podniecają tylko pragnienia i żywiej niż dawniej odczuwa się obecnie potrzebę praktyk religijnych“. W innym znowu liście znajdujemy słowa, że „choć tyle osób poniosło śmierć za wiarę, nie doszło nigdzie do odstępstwa, ani żadnego przygnębienia. Osoby te umarły mężnie, ofiarowując życie Bogu za religję, a tem samem za ojczyznę”.

Jak nie podupadł duch wiary, tak też żywą i gorliwą pozostała praca społeczna.

Tak naprzykład dowiadujemy się znowu z listu pisanego do jednego z biskupów, że Stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich urządziły w sześciu miejscach zebrania z konferencjami o obowiązkach młodych kobiet i matek chrześcijańskich i o głównych prawdach wiary, dalej, że Społeczna Unja Kobieca zbiera się co dwa tygodnie, że założyła kasę oszczędności i kasę pożyczkową, że pewną część każdego zebrania poświęca się systematycznemu wykładowi religji; dowiadujemy się dalej, że zreorganizowano Unję Kobiet, która ułożyła program wzajemnej pomocy i która zajmuje się także zaga-

dnieniami społecznemi i religijnemi. Syndykaty robotników katolickich istnieją i pracują dalej, a sam ich dyrektor organizuje naukę katechizmu dla dzieci i młodzieży.

Od czterech wieków już po raz drugi obchodzono uroczystość Najśw. Panny z Guadelupy, przypadającą na 12 grudnia. Pomimo to napływ wiernych był taki sam, a może jeszcze większy, niż w latach poprzednich. Dziennik *The Catholic News* z Nowego Jorku, donosi, że tłum, złożony z około 200.000 osób, zgromadził się u stóp Patronki Meksyku. Był to widok imponujący; pobożność i gorliwość wiernych była tego roku jeszcze większa, a modlitwy ich błagały o odwrócenie prześladowania religji. Wielka ta manifestacja wiary odbyła się w doskonałym porządku, wśród wzruszających oznak pobożności. Na szczęście w porę udało się spostrzec i zapobiec szatańskiej próbie zniszczenia świątyni. W ciągu popołudnia przybliżył się jakiś człowiek do ołtarza i oddał bliżej stojącemu pielgrzymowi ogromną świecę z prośbą, by tenże ją zapalił przed świętym obrazem. Świeca ta była zadziwiająco ciężka, pielgrzymowi temu wydała się podejrzaną i oddał ją jednemu ze strażników, i tam skonstatowano, że była to bomba oblepiona woskiem.

Bardzo licznie przybyli jak corocznie Indjanie, którzy szczególnie czczą tę świątynię dlatego, że została wystawiona na pamiątkę ukazania się Najśw. Panny pewnemu Indjaninowi. Ale na tym olbrzymim zjeździe widać było wszystkie stany i narodowości zamieszkujące Meksyk, wielu przebyło setki mil piechotą, poprzez góry i pustynie, by tylko zdążyć na tę uroczystość. Całe rodziny wybierały się w tę podróż bardzo uciążliwą, zabierając ze sobą ubogie zapasy, które im musiały w tym czasie wystarczyć.

Wzdłuż pięciu tysięcy ulic miasta Meksyku porozstawiano gęsto policję i wojsko, widzieli oni, jak nieustannie przepływają gęste tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci, pobożnie skupione w pragnieniu odbycia swej tradycyjnej pielgrzymki. Zarówno w noc poprzedzającą święto, jak i w noc następną, oblegały świątynię olbrzymie tłumy, które nie odeszły, zanim nie dotarły po koleji do obrazu Najśw. Panny.

Jeśli po tylu miesiącach rządów prześladowczych, wysilających się, by wytępić wiarę katolicką w Meksyku, potrzebaby jeszcze dowodu, że ta wiara jest ciągle żywa i gorąca w sercu ludności meksykańskiej, to trudno o dowód jaśniejszy, niż te tłumy, pielgrzymujące do świątyni w Guadelupie.

Opisywaliśmy w poprzednim numerze rozstrzelanie ks. Pro, jego brata i dwóch innych ofiar fałszywego wyroku. Pogrzeb dwóch pierwszych ofiar zamienił się na wspaniałą manifestację. Jest zwyczajem w Meksyku, że trumnę wiezie karawan aż do cmentarza, potem dopiero krewni i bliscy niosą ją do grobu. W tym wypadku jednak trumny zdjęto i niesiono na przestrzeni przeszło dwóch kilometrów. Około 15,000 osób, należących do wszystkich klas społecznych, brało udział w pogrzebie, a cała droga była zasypana kwiatami. Ci, którzy przybyli w samochodach, wysiedli, by iść piechotą za trumnami, a co chwila wybuchały okrzyki: „Niech żyje Chrystus Król!", „Niech żyją męczennicy!“, tłum nieustannie modlił się głośno, a wielki cmentarz nie mógł pomieścić wszystkich przybyłych.

Pogrzeb inżyniera Segury Vilchis odbył się tego samego dnia, tylko na innym cmentarzu. Tak samo ogromny tłum odprowadził ciało na cmentarz, niosąc na przemian trumnę, wśród wielkiego skupienia, wśród kwiatów i modlitw.

Następnego dnia pochowano czwartą ofiarę, robotnika Tirado Arias, i osoby z najwyższego towarzystwa na równi z ludem odprowadziły go na miejsce pośmiertnego spoczynku. Przeszło siedem tysięcy osób szło za trumną, którą niesiono na przestrzeni kilku kilometrów. Ogromna ilość wieńców pokryła grób, a wbrew protestom policji urządzono składkę, by wspomóc chorą i ubogą wdowę i ociemniałego ojca ofiary.

Ale prześladowanie trwa nieustannie.

W Ciudad-Victoria, jak opisuje pismo *Etudes*, Marja Guadalupe Chaires udaje się do burmistrza na czele delegacji kobiet tego miasta, żądającej uwolnienia więźniów katolickich. Przybywają do ratusza, burmistrz jednakowoż ukrywa się przed niemi. Policja zatrzymuje manifestantki. Pierwsza salwa, dana w powietrze, pozostaje bez rezultatu. Następuje druga salwa, tym razem wymierzona w tłum. Chwila wahania, i tłum posuwa się śmiało naprzód, i stawia na swojem, uwalnia uwięzionych.

Ale wkrótce nastąpił odwet. W kilka dni później oddziały Callesa przybyły do miasta. Marja Chaires stanęła przed generałem: „Gdzie są kapłani, którzy pracowali w parafji?“ Milczenie. „Powiesz pod rózgami“. Ale i pod batami Marja Chaires milczała, uśmiechając się. Przywiązują ją do słupa, jest to już w całem znaczeniu męczeństwo. „Czy zawołasz: niech żyje Calles?“ Tym razem język jej rozwiązuje się: „Niech żyje Chrystus Król!“ Kaleczą ją, wyrywają palce jeden po drugim. Marję przebiega za pierwszym razem dreszcz, ale zaraz opanowuje się i uśmiech zastyga na jej umęczonej twarzy, a przed śmiercią wargi powtarzają przysięgę miłości dla boskiego Króla.

Najulubieńszą torturą tych barbarzyńców, by wydrzeć tajemnice swoim ofiarom, to zawieszanie za ręce lub wielkie palce. Raz udało się im: przy trzeciej próbie jakaś biedna kobieta uległa i zdradziła kryjówkę księdza Sabas Reyes, wikarego z Tototlan (Jalisco). W ten sam sposób chcieli kaci wymóc na tym wikarym tajemnicę kryjówki jego proboszcza. Przez trzy dni pozostaje on uwiązany do jednej z kolumn przed wrotami kościoła, nie dotykając stopami ziemi. Tną go szablami, kłują bajonetami, wreszcie oblewają mu nogi benzyną i podpalają. W tym stanie, jeszcze żyjącego, gnają na cmentarz, gdzie zostaje rozstrzelany.

Dzielnego rolnika, Anzelma Padilla, chwytają we własnej jego stajni, w San Julian (Jalisco), i po znęcaniu się nad nim podpalają mu również nogi. Liczba kapłanów rozstrzelanych bez sądu jest bardzo znaczna.

Wśród kapłanów znajduje się i męczennik tajemnicy sakramentalnej, ks. Mateo Correa w Zacatecas (6 luty 1927), który przybył na zaproszenie jednego z oficerów, oddać posługę kapłańską grupie skazanych „buntowników“, a od którego ten sam oficer chciał wydobyć następnie ich zwierzenia. Są też ofiary zabite przy ołtarzu, i Tarcyzjusze, którzy upadają, uściskiem chroniąc swego Pana. Są i starcy ośmdziesięcioletni, jak proboszcz

Adam z Nochtitlan (Zacatecas), nawet biedny obłąkaniec Henryk Marquez (Colotlan, Jalisco), uwolniony najpierw na prośby sąsiadów, a potem znowu schwytany i rozstrzelany.

Dokonuje się i egzekucji masowych, w celu steroryzowania ludności; w Colima (październik 1926) pięć kobiet powieszono na drzewach w parku publicznym; w Jalisquillo (Nayarit), siedm trupów wisi na gałęziach jesionu na placu kościelnym; trzydzieści ośm innych znowu trupów, w tym samym stanie, Nayarit, wisi na słupach telegraficznych, wzdłuż drogi koleji żelaznej.

Jak wytłumaczyć obojętność rządów, narodów i prawie całej światowej prasy wobec okrutnych prześladowań meksykańskich?

Jezuita niemiecki, O. Ludwik Koch, rzuca na tą sprawę trochę światła w swym artykule, zamieszczonym w numerze styczniowym, „*Stimmen der Zeit*“.

Walka antireligijna w Meksyku, pisze on, trwa już od jakich stu lat. Masonerja północno-amerykańska w roku 1867 przyczyniła się do zwycięstwa Juareza nad cesarzem Maksymiljanem. Porażka Huerty, który był przychylnie usposobiony dla katolicyzmu, była również jej dziełem. Pod jej też wpływem nastąpiła nieprawna reforma konstytucji meksykańskiej w 1927 r. W 1925 roku trzystu „braci” północno-amerykańskiej masonerji reorganizowało masonerję w Meksyku. Założyli oni „Ligę antiklerykalną”, która ułożyła plan kampanji Callesa. Sekta Ku-Klux-Klan wyraziła na zgromadzeniu w Waszyngtonie w 1925 roku swoją sympatję dla obecnego rządu meksykańskiego, walczącego o wyzwolenie ludu „z pod obcych wpływów, które chcą go ogłupić”. Na tem samem zgromadzeniu podniesiono protest przeciw wszelkiej interwencji Stanów Zjednoczonych, nie tyczącej się opieki nad poddanymi i sprawami amerykańskiemi. Od czasów Carranzy masonerja opanowała wszystkie wpływowe stanowiska w państwie. Calles otrzymał w nagrodę swoich zasług medal od Rady najwyższej obrządku szkockiego, a D. Ludwik M. Rojas obiecał zawiadomić o tem odznaczeniu wszystkie rady naczelne innych związków masońskich.

ŚWIĘTOŚĆ MARJI.

Wiara w osobistą świętość Marji związana jest od wieków najściślej z wiarą w tajemnicę Wcielenia. Dogmat o Niepokalanem Poczęciu czyni Marję równą pierwszym naszym rodzicom przed ich upadkiem, i daje jej świętości taki fundament, na jakim nie wzniesiono nigdy żadnej innej świętości — wyłączając oczywiście świętość Chrystusa. Opierając się na tej podstawie, wolno nam wierzyć, że rozum i miłość nadprzyrodzona wyprzedziły w Marji rozwój natury, że wysoki dar wiedzy wlanej usposobił Ją już wtedy do rozpoznawania w duszy subtelnych dotknięć

Ducha św., że nawet w chwili uświęcenia nie pozostała całkowicie bierną, ale że już wówczas rozum Jej i serce współpracowały z działaniem łaski. Wolno nam wierzyć, że pierwsze zwrócenie się Jej duszy ku Bogu było definitywne, że Jej wznoszenie się ku Bogu odbywało się bezustannie i bez najmniejszego cofania się, że każda chwila życia i każde uderzenie serca było równocześnie pomnożeniem łaski. Możemy wierzyć, że tak jak była wolną od skaz niewiadomości i pożądliwości, tak też wolną była od powszechnej nam wszystkim słabości, przez absolutne panowanie nad wszystkiemi aktami swego życia wewnętrznego, i to ciągle i zawsze, tak, że od Boga nie odrywało Jej ani zmęczenie, ani sen.

*Oto jak pisze o Matce Bożej ks. de la Broise (*La Sainte Vierge *c. II, str. 41):*

„Matka Niepokalana, według powszechnego mniemania teologów, otrzymała łaskę uświęcenia w duszy rozumnej i wolnej i w doskonałej współpracy z działaniem swego Stwórcy. Łaska jest tajemniczem połączeniem Boga ze stworzeniem rozumnem. Godność tego zjednoczenia, jeśli się mu nic pozatem nie sprzeciwia, wymaga, by zostało przyjęte z wolnej woli i by miłość stworzona zwróceniem się ku Miłości nieskończonej, odpowiedziała Jej wezwaniu. Jest to zresztą zawsze wolą Opatrzności, by pozostawiać stworzeniom możliwie jak najwięcej działania osobistego i jaknajwięcej zasługi. Podobnie Adam i aniołowie, gdy Bóg w pierwszej chwili stworzenia podnosił ich do porządku nadprzyrodzonego, nie byli ani nieświadomi, ani bierni. Przez poznanie i miłość ściągnęli ku sobie łaskę, w tej właśnie chwili, gdy Bóg ją w nich wlewał. Marja, wyższa we wszystkiem od aniołów i od pierwszego człowieka w stanie niewinności, nie mogła otrzymać uświęcenia w sposób mniej doskonały. Wprawdzie dla Niej używanie rozumu, które było naturalnem u anioła i u pierwszego człowieka, który został stworzony dorosłym, mogło odbywać się tylko cudem, ale jakżeby Bóg Jej odmówił i tego cudu, w chwili, gdy Ją tak cudami obsypywał?

Oczywiście, Marja, choć mogła się posługiwać władzami duchowemi bez pośrednictwa zmysłów, nie mogła ani zasłużyć na pierwszą aktualną łaskę, zawsze i istotnościowo darmo daną, ani przygotować się do swego uświęcenia aktem, któryby w czasie wyprzedzał to uświęcenie. Ale aktami tych władz, które nie podlegają prawom czasu, mogła się zwrócić do Boga w tej sa-

mej chwili, w której Bóg się zwracał do Niej, wlewając łaskę w Jej duszę.

Gdy światło poranne pierwszem swem dotknięciem ożywi kwiaty, łodyga sama ze siebie podnosi się ku słońcu, korona otwiera się i rozszerza, wciągając jakby i wchłaniając z upragnieniem pierwsze ciepłe promienie. W ten sposób ubiegła Marję łaska boża, a Ona otworzyła przed nią jak mogła najszerzej całą Swą duszę i wszystkie Jej władze.

D. N. według Dict. Apol. de la Foi. Cath. A. d'Alès.

ŚMIERĆ PIERWSZEGO BISKUPA CHIŃSKIEGO, MONS. CZAO.

Ubiegłego roku w jesieni konsekrował Ojciec św. pierwszych krajowych biskupów chińskich, a zaledwie rok upłynął, jeden z nich, Mons. Filip Czao, skończywszy zaledwie lat 47, po sześciu miesiącach gorliwej pracy w swym Wikarjacie, ginie mężnie na posterunku.

Miasto Szuanwafu było rezydencją tego biskupa i było ono stosunkowo dość odległe od terenu wojny domowej, więc też dość spokojne. Zaraz na początku wojny zorganizował biskup Czao komitet pomocy, złożony z wybitniejszych chrześcijan i pogan miejscowych. Zorganizowano dziesięć schronisk, a to w seminarjum miejscowem, w pałacu biskupim, w domu zakonnic, oraz w samej katedrze, i przygotowano wszystko do przyjęcia zbiegów i pielęgnowania chorych. Tysiące osób przybywało do tych schronisk, a biskup osobiście kierował wszystkiem, pełen dobroci, cierpliwości i serdeczności, myślał i wiedział o wszystkiem, a przy każdej sposobności okazywał poganom prawdziwego ducha Chrystusowego, pocieszał i podnosił na duchu. Walki koło miasta Szuanwafu były krwawe i długie, ranni napływali w wielkich ilościach, powoli zaczęto odczuwać brak ambulansów, a szpitale nie mogły nastarczyć potrzebom. Biskup Czao wobec tego organizuje nowe dzieło miłosierdzia; zwołuje do siebie wszystkich, — a było właśnie dużo kapłanów i katechetów zebranych na rekolekcjach — i rozgrzewając w nich chrześcijańską miłość bliźniego, nakazuje im się zająć rannymi. Z wielkiem męstwem podjęli się chrześcijanie swego zadania i w porozumieniu z władzami wojskowemi zorganizowali służbę sanitarną, w ten sposób mianowicie, że chrześcijanie z kapłanem chińskim na czele udawali się na linję bojową, skąd znosili rannych do miasta; a tam młodzież w szpitalach zajmowała się dalszem pielęgnowaniem. Widok ten prawdziwie chrześcijańskiej miłości napełniał podziwem nawet pogan.

Gdy wyruszyła pierwsza ekspedycja nowej służby sanitarnej, zapytał się Mons. Czao kapłana, który nią kierował, czy nie boi się niebezpieczeństwa, które mu grozi: „O nie — odpowiedział ten kapłan — wierzę, że nawet gdybym tam znalazł śmierć, byłaby ona piękną i świętą, a to dla miłości,

z którąbym oddał życie". Biskup był głęboko poruszony tą piękną odpowiedzią: „Nie możecie mi dać większej pociechy, powiedział, zawsze myślałem, że gdyby jeden z nas, biskup czy kapłan, mógł złożyć w ofierze swe życie w Chinach, za ten nasz drogi lud, będzie to największą rękojmią zbawienia, największem błogosławieństwem Boga dla naszego Wikarjatu".

Ten duch ofiary i pragnienie poświęcania się przepełniał zawsze serce Mons. Czao. Był on synem męczennika, a wielkość i piękność męczeństwa wzruszała go i porywała. Uważał on, że Chiny nawrócą się tylko przez miłość. „Zapełnijcie serca wasze miłością chrześcijańską, mówił on podczas swej bytności w Europie do studentów w Louvain, miłością, która jest ponad wszelki przedział rasy czy klasy. Serca pogan łakną i pragną miłości. Musimy się wzajemnie miłować. Dzień, w którym poganie będą mogli zastosować do dzisiejszych katolików owe znane słowa pogan starożytnego Rzymu „patrzcie, jak się wzajemnie miłują" — będzie dniem, w którym Kościół zwycięży szatana".

W połowie października, po pracy całodziennej, wśród swych kapłanów, chorych, rannych i zbiegłych, obszedł Mons. Czao raz jeszcze różne schroniska w swej rezydencji, by zobaczyć, czy wszystko jest w porządku; kilka dni przedtem spadł pierwszy śnieg, pogoda była zimna i mroźna. W jednej z izb schroniska znalazł biskup rodzinę wtuloną w kącie, bez żadnych cieplejszych okryć, wrócił więc do swego pokoju, zdjął pościel ze swego łóżka, by im ją przynieść. Poszedłszy dalej, znowu znalazł marznących biednych i nie mając już nic innego, zdjął płaszcz i okrył nim zziębniętych, poczem zmęczony i wyczerpany wrócił do siebie. Zaledwie tam doszedł, koło północy schwycił go paraliż, potrafił jeszcze wezwać służącego, poczem upadł na krzesło i nie odzyskał już przytomności. Udzielono mu Ostatniego Namaszczenia i spokojnie zgasł na rękach ks. Lebbe, który od lat chłopięcych był jego nauczycielem i przyjacielem.

Trudno powiedzieć, jak wielkie wrażenie zrobiła ta śmierć, zarówno wśród pogan jak chrześcijan, których tłumy przesuwały się dzień i noc dookoła katafalku, wśród ogólnej czci władz pogańskich i wojskowych. Był biskup Czao doprawdy ofiarą miłości apostolskiej, może ową pierwszą ofiarą, którą Ojciec św. jakoby przeczuwał, gdy ze łzami w oczach dawał biskupom chińskim w Bazylice św. Piotra pocałunek pokoju i pożegnania.

wedł. *Osserv. Romano.*

KRYZYS W KOŚCIELE ANGLIKAŃSKIM.

Trudno dać dokładne pojęcie o niezmiernie silnem wrażeniu, jakie wywarło w Anglji odrzucenie przez parlament nowego „Modlitewnika", (patrz W. K. nr. 2).

Intelektualiści wolnomyślni starają się cały ten spór obniżyć do poziomu dysputy czysto „bizantyńskiej" między duchowieństwem, do jakiejś manji czcigodnego i sędziwego arcybiskupa anglikańskiego z Canterbury, dr. Davidsona.

Jednakże wyjaśnienia pojawiające się w prasie, w parlamencie, a dostarczane przez najzagorzalszych nawet przeciwników rewizji „Modlitewnika“, wskazują jasno, wraz z obroną zwolenników tej rewizji, że chodzi tu o coś zupełnie nowego. Sfery kierownicze są zaniepokojone. Młodzież uniwersytecka w Oxford i Cambridge, niegdyś tak obojętna dla wszelkich problemów z dziedziny religijnej i od czasów wojny powstrzymująca się od udziału w sporach intelektualnych, jest w ogromnem podnieceniu.

Odrzucenie „Modlitewnika“ wywołało wielki kryzys w kościele anglikańskim: wzajemne oskarżenia i zarzuty płyną nietylko z zewnątrz i od dawnych dyssydentów, ale z samego wnętrza tego kościoła.

Trudności zresztą mnożą się wszędzie. Dr. Barnes, biskup anglikański z Birmingham, cofnął pozwolenie, wydane przez swego poprzednika Dr. Wakefielda, tyczące się wygłaszania kazań w kościołach „anglo-katolickich“ i went dobroczynnych na ich cele. Duchowni, dotknięci tem, w liczbie 50 buntują się przeciw swemu biskupowi, odmawiając wszelkich opłat diecezjalnych; dr. Barnes ogłasza, że ich praktyki romanizujące są nieprawne i rzuca na nich interdykt. Gdyby parlament był przyjął rewizję „Modlitewnika“, nie miałby dr. Barnes prawa mieszania się w te sprawy.

Oskarża się Izbę świecką w Zgromadzeniu narodowem kościoła anglikańskiego, która zażądała rewizji „Modlitewnika“, że ona wcale nie przedstawia elementu świeckiego anglikańskiego. Może jest to i słuszne. Ale przewodniczący jej, lord Selborne, protestuje przeciwko temu z oburzeniem — i nie bez logicznego uzasadnienia, w liście do Timesa. Trzy i pół miliona świeckich anglikanów, którzy dobrowolnie wpisali się w poczet wyborców Zgromadzenia narodowego, należą bezwątpienia do anglikanów praktykujących. Czyż jest rzeczą odpowiednią dla ludzi świeckich, nie uczęszczających wcale do kościoła, lub bardzo rzadko — między którymi zresztą można spotkać wiele osób najbardziej godnych szacunku, by zajmowali się wydawnictwem „Modlitewnika“? Czyż nie należy zostawić raczej tego zadania osobom chodzącym do kościoła i używającym „Modlitewnika“ codziennie, lub choćby tylko raz w tygodniu?

Dziennik „Daily Chronicle” w pierwszym numerze na rok 1928 wypowiada życzenie międzynarodowego i stałego pokoju; dodany jest tam znaczący paragraf, tyczący się pokoju religijnego: „Niechże biskupi się zejdą, niech się zgromadzą wierni, by znaleźć rozwiązanie kryzysu, spowodowanego odrzuceniem nowego „Modlitewnika”. „Times“ z 4 stycznia zamieszcza wezwanie do dusz „wielce zaniepokojonych” „poważną sytuacją“ chwili obecnej, by łączyły się razem w modlitwie i wzywały „każdego wieczora między godz. 9 i pół a 10, przez, naprzykład, pięć minut „boską Mądrość”, gdyż nigdy jeszcze tak, jak dziś, nie potrzeba było gorącej modlitwy“.

Jakże zakończy się ten kryzys? Trudno to przewidzieć, zwłaszcza, gdy się ma na myśli dalsze następstwa.

Jeden z przyjaciół pisma *La Croix*, przebywający w ostatnich dniach w Anglji, i będący świadkiem ogólnego tam poruszenia, pisał do tego dziennika: „Pomijając doniosłość obecnych faktów, każdy może przewidywać, i nie bez trwogi, obrót tragiczny, jaki mogą one przybrać jutro“. Istotnie rewizja „Modlitewnika“ przeminęłaby mniej lub więcej niespostrzeżenie,

gdyby nie była ona gwałtownym wybuchem pewnego stanu duszy i rzeczy zatrważających, zapowiedzią przemian, dużo poważniejszych, dążeniem do powrotu mniej lub więcej jawnego katolicyzmu".

Tak się przedstawia obecnie „dramat", przeżywany przez najbardziej oświeconych członków, a nawet kierowników kościoła anglikańskiego, a rozwiązanie jego w oczach owego korespondenta-katolika — nie może nie pójść po drodze logiki i tradycji chrześcijańskiej: mianowicie rozdzielenia z władzą świecką, poddania się pod autorytet i zwierzchność Rzymu.

Dla cudzoziemca bieg wypadków w Anglji jest rzeczą tak trudną do pochwycenia, że możemy przyjąć powyższe przewidywania z jak największem zastrzeżeniem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będziemy jeszcze musieli długo czekać na pojednanie się kościoła anglikańskiego i ludności angielskiej z katolicyzmem. *La Croix.*

WSPÓŁDZIAŁANIE RODZINY W SPRAWIE POWOŁAŃ.

Z końcem września u. r. odbył się w Rouen we Francji trzeci z rzędu Kongres, mający wyłącznie na celu sprawę powołań duchownych — sprawę, której Katolicka Francja poświęca od szeregu lat szczególną uwagę. Z pośród referatów wygłoszonych na plenum, temat o współpracy rodziny z budzącemi się powołaniami, wygłoszony przez ks. kan. Ardant, zawiera tyle trafnych uwag i wskazówek, że niezawodnie zajmie tych z czytelników naszych, którzy się tą sprawą szczerze interesują.

Rodzina jest pierwszą szkołą dziecka, której nauki tem są skuteczniejsze, że z miłością podane — i że są jedyne przez przeciąg kilku czy kilkunastu lat, gdzie umysł jest na nie najpodatniejszy. Nawet gdy dziecko jest już poza domem, a wraca tam na wakacje — urok tego, co dom daje, zachowuje jeszcze całą swą siłę.

Trzeba o tem pamiętać, gdy chodzi o powołanie. Choćby szkoła była katolicka, trudno się spodziewać, by ta delikatna roślinka, jaką jest głos Boży w duszy dziecka, mogła tam być pielęgnowaną — przeciwnie — obojętność, o ile nie wrogość otoczenia, zwarzy ją wielokrotnie — to też rodzice muszą sobie powiedzieć, że ich wpływ jedynie może tu odpowiedzieć wskazówkom nadprzyrodzonym! Czy jednak usposobienie samej tej rodziny odpowiada tak szczytnemu zadaniu? czy nie należałoby pierwej jej samej oświecić, rozgrzać, podnieść jej ideały, dotąd zbytnio w doczesnych celach utkwione? Mamy bowiem do czynienia z różnemi rodzajami zapatrywań: są rodzice co wogóle o tem nie myślą, inni, którzy się na powołanie nie godzą — inni wreszcie, którzy się godzą, ale fałszywie się do rzeczy zabierają.

Pierwsi dla ducha świata, egoizmu, obstawania przy swych rachunkach ludzkich, wogóle tej myśli nie dopuszczają.

Drudzy niekoniecznie z braku zasad stawiają opór, owszem mają się za dobrych katolików — ale myśl oddania dziecka im nie dogadza — czyto z obawy, by ono za wcześnie nie rozporządzało swą przyszłością, rzekomo

bez poznania tego, czego się wyrzeka, czyto jakoby nie było godne tak wielkiego zaszczytu, albo poprostu żal im karjery, która się przed niem otworzyć mogła. Stąd płyną gotowe zarzuty przeciwko tym, którzy taką myśl podsunąć mogli: naco tyle praktyk pobożnych, naco poddawanie innych ideałów, niż te, które dom wpoił? A więc zapobiega się ich rozwojowi przez dostarczanie przyjemności światowych, tego rodzaju i w taki sposób, by te ideały rychło kierunek zmieniły. Powodzenie wieńczy zazwyczaj te starania — ale z powołaniem ginie nieraz wiara, obyczaje, a nawet i szczęście doczesne. Na tego rodzaju poglądy można wpłynąć jedynie przez wpływ osobisty — wyjaśnienie, jak się na tę kwestję zapatrywać należy, przez dobór książek, czy czasopism, wreszcie przez głos opinji. Faktem jest bowiem, że i głos opinji stworzyć musi odpowiednie powołaniom przyjęcie. Nie ulega też wątpliwości, że pod tym względem jest zmiana na lepsze — coraz częściej słyszymy głosy matek, pragnących tej godności dla synów, ojców, chętnie ich oddających na służbę Bożą.

Pozostają nam jeszcze rodziny chętne, ale niedość roztropne w postępowaniu. Pouczenia i zachęcenia właśnie takich podjął się referat o metodach, któremi rodzina współdziała w tej ważnej sprawie. A więc przedewszystkiem podnosi on niesłychane znaczenie licznych rodzin. Bóg, dawca łask wszelakich, z upodobaniem spogląda na domy, gdzie prawo Jego przekazywania życia następnym pokoleniom jest zachowane. Ojciec mający kilku synów chętnie poświęci jednego, wiedząc, że reszta i trwałość rodziny zapewni i utrzyma ziemię, czy warsztat, czy przedsiębiorstwo. A wychowanie w licznej rodzinie o ileż jest łatwiejsze! Więcej tam hartu, prostoty, pamięci o drugich, mniej miękkości, egoizmu, który dziś toczy jak robak wszystkie społeczeństwa.

Prostota życia to niezawodnie jeden z najskuteczniejszych środków osiągnięcia naszego celu; prostota w jedzeniu, w ubraniu, w urządzaniu domu, oszczędność grosza, unikanie zbyt częstych i wykwintnych przyjęć, zabaw, to nieoceniony zasób hartu na przyszłość, każdemu potrzebny, a cóż dopiero przyszłemu kapłanowi!

W tym kierunku prowadzone dzieci ćwiczyć się będą fizycznie przez rozumną i umiarkowaną higjenę; moralnie przez wyrabianie w nich szczerości, prawdy, poznania godności, tych cnót naturalnych, które z czasem, w miarę duchowego postępu, zrobić z nich mogą ludzi wybitnych charakterem, świątobliwych pracą wewnętrzną. Zacząć jednak należy od wyrabiania człowieka uczciwego, w całem tego słowa znaczeniu. A więc pod względem fizycznym przebywanie na otwartem powietrzu, życie obozowe, umiarkowane sporty, pod względem moralnym prawda, poczucie honoru, zasługiwanie na zaufanie starszych, posłuszeństwo bez zastrzeżeń, znoszenie odważnie, a nawet wesoło przykrości. Wysokie pojęcie o tem, co się winno bliźniemu — czystość myśli, słów, czynów. Ostatni ten przymiot doprowadza zaś do samego jądra kwestji ochrony przyszłego sługi Bożego. Chodzi o to, by ta dusza była podniosłą, czystą, pełną poświęcenia, nadprzyrodzoną.

Dwa są mianowicie rodzaje czystości, co do których charakteru jasno sobie trzeba zdawać sprawę. Chłopiec dobrze urodzony, wychowany, strzeżony, będzie miał tę równowagę wewnętrzną i niewinność, na szczęśliwej

niewiadomości tajemnic natury opartą — ale to jest dopiero negatywna strona czystości, tylko do czasu możliwa. Jeżeli mówimy o cnocie czystości, jako predyspozycji do życia wstrzemięźliwego, jaka w stanie duchownym czeka — potrzeba już szukać w młodzieńcu pozytywnej dążności do unikania złego, brzydzenia się niem, strzeżenia swej wyobraźni, wzroku, serca, przed otaczającemi zewsząd niebezpieczeństwami. Tego rodzaju usposobienie znajduje się w rodzinach, gdzie niewinność dzieci jest zazdrośnie strzeżona — i ten, któremu ono przypadnie w udziale, czując wstręt do brudów ziemskich, naturalnym biegiem myśli zwraca się do tego stanu, gdzie tego rodzaju aspiracje jedyną przystań znajdują, gdzie czystość obwarowana najostrzejszemi przepisami, gdzie żadne ustępstwa naturalnym ludzkim skłonnościom dopuszczoneby być nie mogły. Wszystkie usiłowania kierowników duchownych, wskazówki, przestrogi, zwracają się specjalnie w tę stronę; przykłady Świętych do tej cnoty przedewszystkiem zachęcają, jednem słowem ten ideał właśnie stanie się przedmiotem podziwu i naśladowania. Nie rozumie się samo przez się, by to była jedyna cnota od kandydatów do stanu duchownego wymagana — ale jest to ta, która, wskutek słabości ludzkiej, najłatwiej zachwiać się może, a wskutek tego i powołaniu grozi upadkiem.

To pewna, że być kapłanem, a być czystym, to jedno, trudno o ściślejszy związek. Prawie zawsze spodziewać się można, że na takie czyste serce godność kapłaństwa wywrze swój urok i o tem rodzice pamiętać powinni.

Naodwrót młodzieniec, który już zakosztował zatrutego owocu zmysłowości, nie będzie zdążał do krynicy czystego życia, smak jego jakby spaczony, wyobraźnia błądzi po manowcach, trzebaby chyba silnego wstrząśnienia łaski, by usposobienie jego uległo zmianie, a wola odżyła. Stąd jasnem się staje, że rodzina chrześcijańska, której gorącem pragnieniem jest wychować godnych sług Ołtarza, przedewszystkiem ku temu skieruje swe wysiłki, by ich czystą otoczyć atmosferą. A zacząć trzeba choćby od negatywnej strony, i to będzie już wielkim krokiem naprzód. A więc ojcze, matko, która wzdychasz za powołaniem dla syna, strzeż, by żadna rzecz, podpadająca pod oczy dzieci, nie była im powodem zgorszenia. Obejdź z ręką na sercu ściany twego mieszkania i sprawdź, czy niema na ścianie żadnego obrazu, na stole żadnego dzieła sztuki, żadnej książki lub ilustracji, któraby niepokój w duszę dziecka wprowadzić mogła? Czy szafa bibljoteczna zawsze zamknięta i nic z niej nie dostaje się w niepowołane ręce? Czy między gośćmi, którzy cię odwiedzają, nie znajdują się osoby, których ubiór, wygląd, rozmowa utkwi na długo w młodym umyśle i wywrze wpływ fatalny, może aż w znacznie późniejszym czasie? Czy w dniach wolnych od szkoły i w czasie wakacyj, rozrywki dzieci są obmyślane i dobierane, i czy wybór pada na najprostsze i najmniej wybredne, jak wycieczki, gry na wolnem powietrzu, itd.? Czy w razie przedstawień teatralnych lub kinowych sztuka jest dobrze znana rodzicom i czy są pewni, że niewłaściwe żarty, lub dwuznaczne słowa nie obrażą uszu ich niewinnych dzieci? A cóż mówić o wyborze miejsc kąpielowych w lecie, gdzie swoboda ubrań, mów i ruchów przeradza się w swawolę?

Ale to dopiero połowa zadania! do czasu tylko nieświadomość strzeże

niewinności. W miarę rozwoju dziecka starać się trzeba, by naturalną czystość zastąpić pozytywną, świadomą siebie i opartą na silnem postanowieniu. Rodzice muszą tu współdziałać ze spowiednikiem, którego przestrogi główną rolę tu grać muszą. Ojciec przedewszystkiem musi przyjąć na siebie tę powinność, by w właściwym czasie przez właściwe uwagi pouczyć synów, jak szanować mają ciało swoje, jak godność ludzką wysoko sobie cenić i z pewną pogardą traktować zadowolenie niskich instynktów.

A to jeszcze nie dosyć: dusze przysposobione pod zasiew Boży nie tylko gardzą tem, co niskie, skalane — ale czerpiąc szlachetne swe aspiracje wśród piękna, unikają nawet tego, co płaskie, pospolite, przeciętne. W tym duchu nauczał święty Ignacy: Bóg chce mieć sługi z krwi szlachetnej (hidalgo), a biskup Dupanloup woła: „Aby być kapłanem, trzeba być szlachetnym i wielkim, lub zdobyć to wysiłkiem woli“. I właśnie rodzina ma nad tem pracować, by ten wysoki ideał dzieciom przed oczy stawiać. A nie jest to dziś łatwo. Materjalizm robi takie spustoszenia w duszach, tak się ceni to tylko, co przynosi doraźne korzyści, że nigdy nie można dosyć przeciwdziałać tym zapatrywaniom. To jedno pewne, że sądy u młodych wyrabiają się przy rodzinnem ognisku; otóż niech dziecko nie słyszy nigdy, by się kogoś ceniło według jego majątku, że ubolewa się nad niemożnością zadowolenia próżności, komfortu, elegancji, że się pragnie prześcignąć kogoś w sukcesach światowych, prowadzić życie nad stan, to są wszystko rzeczy niegodne myśli i czasu chrześcijańskich rodziców, którzy wychowując, dochować się pragną syna wielkiego prawdziwie, wielkością ducha. Niech owszem inne ideały im przyświecają: życie skromne i spokój ducha jako jego nagroda, zamiłowanie obowiązku, praca dla bliźnich, utrzymanie godności rodu i rodziny, upatrywanie wielkości w dobrach pozazmysłowych. Gdy trafi się bunt lub wybryk jakiś u młodego, dźwigać go należy pobudkami wyższego rzędu, wykazywać całą marność i znikomość uciech zmysłowych, niegodnych człowieka i chrześcijanina. Głos ojca ma być dla synów ciągłem: Sursum corda, głos matki nawoływaniem do codziennego obowiązku, hartu, panowania nad sobą. Dusza w ten sposób urobiona, uszlachetniona, z łatwością usłyszy wzywający ją głos Boży, głos powołujący ją do godności, nad którą nie było większej na ziemi, prócz macierzyńswa Bożego; godność to bowiem nawet ze stanowiska czysto ludzkiego odrębna i wyższa nad wszelkie inne: przez odcięcie się kapłana od świata otaczającego, przez wpływ jego na sumienia, przez powołanie do poznania i kojenia nędz wszelkich, przez wyjątkową rolę społeczną, która mu przypada w udziale. Kapłan bowiem nie należy do siebie; on należy najpierw do Boga, którego praw strzec i królestwo szerzyć jest jego obowiązkiem, należy powtóre do bliźnich, których ma nauczać, uświęcać, wspierać, pocieszać, a ponieważ się to nie obywa bez wielkich trudów, poświęcenia a nawet prześladowania, więc się staje tem samem ofiarą, na wzór Mistrza, męża boleści — pierwszego na ziemi kapłana.

I w tym kierunku wpływ rodziny jest przemożny i niezbędny. Bo na tym terenie wykluwają się pierwsze objawy dawania siebie tj. poświęcenia; i tu także zwalczać się powinno nieubłaganie egoizm, ten pasorzyt, toczący społeczeństwa i rodzinę. Tak jak każdy objaw dobroci

serca, ofiary z siebie, swego czasu, kieszeni, powinien być wywołany i traktowany jako właściwy duszy chrześcijańskiej, tak znów egoizm tępiony, karcony i uważany jako odruch niegodny szlachetnego serca. Należy przedewszystkiem nacisk główny kłaść na wielkoduszne zapomnienie o sobie, a więc myśl o drugich: o rodzeństwie, ubogich, chorych, o kolegach potrzebujących pomocy lub pieniędzy, a nietylko myśl, ale poświęcenie własnej osoby, co z czasem nakłoni do objęcia szerszego koła bliźnich. To wszczepianie za młodu ducha apostolstwa i szerzenia dobrego w koło siebie nawet kosztem narażenia się na przykrości i kosztem zwalczania fałszywego wstydu lub nieśmiałości, może mieć na przyszłość ogromne skutki. Zaczyna się więc w kole rodzinnem, naprzód w małym zakresie, ta wielka nauka obowiązku życia dla drugich; powoli, w miarę rozwoju umysłowego i duchowego należy dziecku ukazywać szersze horyzonty i nędze tego świata, dusze, to błądzące, to rozpaczy oddane, choroby kraju i społeczeństwa, powstałe czyto wskutek grzesznej chęci użycia, czy nienawiści dzielącej synów jednej ziemi, a ukazywać w celu wzniecenia szlachetnej ambicji, by kiedyś stanąć w szeregu obrońców dobrej sprawy. Wzruszenie, oburzenie, porywy, wywołane tym obrazem, zaprowadzą w duszy pragnienie współpracy w dziele naprawienia tylu braków. — Także dzisiejsze stowarzyszenia są dobrą szkołą, gdzie się młodzież ćwiczy w wyrzeczeniu własnych wygód dla dobra ogólnego — i to należy wyzyskiwać.

Na to jednak, by w duszach oddźwięk znalazło wołanie głosu Bożego, muszą one być przejęte życiem nadprzyrodzonem — nie wystarczy, by były czyste, podniosłe, ofiarne; jedynie tchnienie życia bożego może w nich wzbudzić dążenie do cnoty wyrobionej najpierw w życiu świeckiem, a potem do doskonałości w kapłaństwie. Wszystko w takiej duszy musi nosić cechę nadprzyrodzoną; myśli, gdy umysł zagłębia się nienasycenie w prawdach wiecznych, uczucia, przez wstręt do grzechu, bojaźń i miłość Bożą; cnoty codzienne, jak pokory, umartwienia, miłości bliźniego, wreszcie i upodobanie w modlitwie, czytaniu, życiu skupionem. *C. d. n.*

UNIWERSYTET KATOLICKI W PEKINIE. Delegat apostolski przewodniczył we wrześniu u. r. uroczystości otwarcia Uniwersytetu katolickiego w Pekinie, powierzonego przez Propagandę Wiary opiece i staraniom Benedyktynów amerykańskich. Uniwersytet mieści się w dawnym pałacu księcia Tsaitao, stryja cesarza Suentonga. 350 sal, wspaniale ozdobionych w stylu chińskim, przystosowano do ich nowego przeznaczenia, kaplicę przerobiono z świątyni, poświęconej przodkom księcia. Na razie otwarto cztery wydziały: języka i literatury chińskiej, historji i archeologji Chin, dalekiego Wschodu, Europy i Ameryki, literatury angielskiej (z poglądem na literaturę chińską, grecką, łacińską i europejską), filozofji (chińskiej, różnych szkół europejskich i indyjskich, nauk religijno-moralnych. Przyszli słuchacze uniwersytetu kształcą się w szkole przygotowawczej. Według wiadomości, podanych w artykule zamieszczonym w „Bulletin des missions bénédictines", nowy uniwersytet „w przeciwieństwie do instytucyj już istniejących, które dążą do celu utylitarnego przez nauczanie techniczno-zawodowe,, chce stać się w Chinach ogniskiem wysokiej powszechnej kultury, pojętej jak najszerzej".

WIARA I NAUKA.

KORZYŚCI INTELEKTUALNE PŁYNĄCE Z KATOLICYZMU.

W dniu otwarcia roku szkolnego na katolickim uniwersytecie w Bordeaux, dnia 29 listopada, wygłosił biskup z Agen, Mgr. Sagót du Vauroux, podczas uroczystego nabożeństwa następujące przemówienie, które za dziennikiem *La Croix* podajemy.

...Połóżmy przedewszystkiem naczelną zasadę: niema sprzeczności między wiarą, a wiedzą, czy filozofją. Przez długi czas było w pewnych środowiskach intelektualnych i politycznych rzeczą modną, uważać Kościół za nieubłaganego przeciwnika wolnego badania, za tę przeszkodę, którą należy usunąć, a raczej zniszczyć, jeśli się nie chce, by postęp — w jakiejkolwiek ukazał by się formie, a zwłaszcza postęp duchowy, mógł się swobodnie krzewić.

Nie zaniedbano niczego, coby mogło prawdopodobnem uczynić to zuchwałe kłamstwo. Ale niestety, sofiści znaleźli wielu słuchaczy i zwolenników.

A jednak, by mogli mieć słuszność, musieliby dowieść, że problem istnienia Boga jest nierozwiązalny, że pojęcie nieskończoności nie odpowiada żadnej rzeczy poznawalnej, że nadzieja życia wiecznego jest tylko złudzeniem. Materjaliści wszystkich czasów, a w naszej epoce pozytywiści, oddali na usługi negacji, czy też wątpienia wszystkie zasoby, często bardzo bogate, swej wiedzy i zdolności, ale nie udało im się nigdy wyplenić w człowieku dążeń duchowych. Dziś, tak samo jak w czasach powszechnej wiary, nie zadowolnią głębszych umysłów radości ziemskie, tak samo jak dawniej łakną nieszczęśliwi pociech lepszego świata; a co najważniejsze, daremnie szukamy wśród odkryć współczesnych niezbitego dowodu, że jedyną rzeczywistością jest to, co przemija i ginie.

By udowodnić, że mają słuszność, musieliby nasi przeciwnicy rozwalić, kamień po kamieniu, wspaniały gmach nauki katolickiej. Czy tego kiedy dokażą? Cóżby to była za olbrzymia a niewykonalna praca, chcieć zniszczyć arcydzieła naszych teologów i egzegetów, apologetów i mistyków św. Augustyna, św. Heronima i św. Tomasza z Akwinu. Uczeni dawnych wieków mają jeszcze uczniów głębokich i kompetentnych. Rzućmy okiem na nasze uniwersytety nasze akademje, pracują tam katolicy, piszą i przemawiają; byłoby rzeczą wysoce niesprawiedliwą nazwać ich ignorantami, będącymi zupełnie w błędzie, lub oszustami.

By udowodnić, że mają słuszność, musieliby agnostycy podjąć się doprawdy ciężkiego zadania i przedstawić jasno domniemane sprzeczności między naszą wiarą a zdobyczami nauki. Ale zaledwieby się do tego zabrali — a przecież sama uczciwość powinna ich do tego skłaniać, natychmiast powstaliby przeciw nim uczeni, których dowodami nic nie zachwieje. Czyż wśród uczonych, godnych tego imienia, nie zajmują nasi przyjaciele

i obrońcy miejsc zaszczytnych? Czyż istnieje choć jedna gałąź wiedzy ludzkiej, w którejby znakomici uczeni nie dowodzili płodności związku między temi dwiema potrzebnemi sobie siłami, różnemi, a uzupełniającemi się, naturą i łaską? Między cierpliwą i znojną pracą, która wydziera powoli faktom tajemnicę ich związku i pochodzenia, by panowanie nasze nad światem coraz bardziej rozszerzać, a z drugiej strony nauką wiary, światłem zesłanem nam z nieba, by kierować naszemi krokami na ziemi, póki nie dotrzemy do Ojczyzny.

Dopóki wolnomyślność nie uskuteczni owego dzieła zniszczenia, które naszkicowaliśmy, mamy prawo mieć najsilniejsze przekonanie, że niema sprzeczności między nauką i wiarą. Są one córkami jednego Boga, Boga prawdy, a choć ich metody są różne, to początek ich i cel schodzą się w przepięknej jedności.

Ale pójdźmy dalej. Katolicy, dzięki swej wierze, posiadają trzy wielkie korzyści intelektualne, które im dają nad innymi wyższość, pozadroszczenia godną.

Pierwszą z nich jest zagwarantowanie uznania wartości rozumu, w jego prerogatywach najkonieczniejszych dla życia duszy. Łatwo to zauważyć, odczytując historję czasów dzisiejszych. Filozofja, oddzieliwszy się od Kościoła, wyniosła najpierw przesadnie naszą zdolność poznawania, potem zaczęła dyskutować, przycinać a wreszcie odrzucać jej podstawowe zasady. Czemże są w rzeczywistości panteistyczne systemy niemieckie, te konstrukcje gigantyczne, ale słabe, do których schroniło się lekkomyślnie tylu myślicieli obu części w epoce przed wielką wojną? Są one wyzwaniem dla zdrowego rozumu, zaprzeczeniem prawd elementarnych, pewników oczywistych, bez których umysł ludzki ani na chwilę obejść się nie może. Doktryna katolicka, związana ściśle ze spirytualizmem, walczy całym swym autorytetem — a niema tu za ziemi wyższego — w obronie rozróżnienia tego, co skończone od nieskończonego, duszy od ciała, podmiotu od przedmiotu, naucza o istnieniu Boga osobowego, Stwórcy, Pana Najwyższego wszechrzeczy, sędziego najwyższego sumień w dzień śmierci.

Otóż zasad tych nauka potrzebuje, jak potrzebuje też filozofji, dlatego, że nie poprzestaje ona na obserwacji, ale zastanawia się, bada i gdy może, wyciąga wnioski. Potrzeba jej rozumu. Jakaż to dla nas siła i korzyść, że na zawsze jesteśmy zabezpieczeni od sofimatów, nawet, gdy nam są podane w formie ponętnej, nawet. gdy genjusz człowieka takiego jak Kant, dodaje im uroku pociągającego, nawet gdy powszechna ich wziętość porywa w swym biegu nieprzepartym umysły goniące za nowością.

Drugą nieocenioną korzyścią jest dodanie do metod naukowych systemu moralnego, jest to znakomity środek, by podnieść żywotność każdego umysłu, szczególnie chodzi mi o głęboką miłość prawdy.

Wiara żąda od nas posłuszeństwa nietylko Symbolowi Apostolskiemu czyli nicejskiemu, ale i przepisom dekalogu, żąda pokory, czystości, męstwa. Pokora, czystość, męstwo, to trzy cnoty przeciwne trzem najgroźniejszym namiętnościom natury Pokora, która usuwając wszelkie nawroty ku sobie, nie pozwala człowiekowi zapoznać prawdy, nawet gdy przyjęcie jej pociąga za sobą ofiary, czystość, gdyż przywiązanie do używania cielesnego nie da

wzrokowi dojrzeć szczytów, na których błyszczy światło; męstwo w małych zarówno jak w wielkich trudnościach, gdyż szukanie prawdy pociąga za sobą walkę uporczywą, więc wyczerpującą.

Ale to jeszcze nie wszystko. Katolicki uczony lub student miałby prawie zawsze przed sobą tylko ograniczony horyzont, gdyby nie mógł wyjść poza dziedzinę doświadczenia, lub czystego rozumu. Mówiliśmy przed chwilą o aspiracjach ku nieskończoności i nie należy ich nigdy lekceważyć, gdyż są jedną z najszlachetniejszych potrzeb naszej natury. Otóż zadowolić je można jedynie przez wiarę i to wiarę katolicką, dlatego, że Kościół nasz jedynie przechowuje objawienie boskie.

Nieskończoność! nie utożsamiajmy jej jednak ze wszechświatem. Wprawdzie nauka rozszerza kręgi swych dociekań dalej, niż to przypuszczały najśmielsze przewidywania, jednak, choć próbuje policzyć gwiazdy, i ocenić odległości je dzielące, lub czas potrzebny zawrotnej szybkości światła, by te odległości przebyć, choć opisuje budowę i ruchy jednej z niezliczonych komórek, z których się składa organizm żywy, choć zatapia się w niezmierzoność matematyki — to jednak wzrok jej miesza się wobec tajemnic, które ją przygniatają swym majestatem, i tu umysł ludzki czuje się słabym, ograniczonym i bardzo małym. A jednak, przecież jeszcze nie odgaduje nawet początku wszech rzeczy, albowiem co jest stworzone, jest ograniczone, Bóg jeden granic nie ma, Bóg sam jest żyjącą doskonałością, pełnią bytu. Powtarzajmyż z całem uniesieniem owe najwznioślejsze słowa, te, które pseudo-mędrcy chcieliby wymazać z wszystkich ludzkich języków: Bóg, Nieskończoność, Bóg!

Nie przyzwyczailibyśmy się nigdy do usunięcia bezpośrednich naszych stosunków z Bogiem. Nie mam tu na myśli konieczności tych stosunków dla naszego życia moralnego, zwracam się tylko do ludzi pracujących umysłowo. Jesteście filozofami, badacie naukę mistrzów, którzy kolejno zakładali szkoły, gdzie badano odwieczne problemy z coraz to innych punktów widzenia, i rozwiązywano w różne sprzeczne ze sobą sposoby; może interesujecie się bardziej coraz to ciekawszemi i głębszemi zagadnieniami psychologji; ale jakiemikolwiekby były wasze zamiłowania i wasze badania, jasny systemat metafizyki służyłby wam za punkt oparcia i za nić przewodnią; czujecie, że tego wam brak, i tylko wasi Mistrze wam to dać mogą. Oddając się naukom ścisłym lub doświadczalnym, pragnęlibyście poznać racjonalny system wszechświata, znać przyczyny rzeczy, i wiedzieć, że zasady wasze dają wam niezachwianą pewność; zwróćcie się do filozofji i teologji katolickiej po światło, którem one są uprzywilejowane. Czy chcecie zostać prawnikami, czy socjologami, czy historykami, niezbędne wam będą pewne jasne pojęcia o prawie, autorytecie, postępie, wartości różnych cywilizacyj, gdzież znajdziecie zasady zdrowe i bardziej zadawalniające niż w kanonach Soborów, dekretach papieskich, pismach naszych moralistów? A jeśli oddajecie się sztukom pięknym, to na każdym kroku spotkacie, malarze, rzeźbiarze, architekci, wszyscy, — na drodze waszej myśl katolicką. Czy wystarczy wam jedynie sama miłość piękna do odtworzenia postaci jakiegoś Świętego, lub jednej ze scen ewangelicznych? Jeżeli wierzycie, jeśli wasz ideał estetyczny opromieniony jest boskiem światłem, pracować będziecie z zapałem i powo-

dzeniem, niedostępnem dla innych. A zresztą, prawdziwa piękność jest nieskończona, ona jest Bogiem samym.

Niepodobna więc zająć się głębiej jakąkolwiek ludzką umiejętnością bez tego, by nie nasunęły się zagadnienia, które idea Boga, nie Boga abstrakcyjnego i nieokreślonego, lecz Boga Ewangelji, oświetla dla nas zbyt pożytecznie, by ją można odłączać od jakiejkolwiek prawdziwej wiedzy.

Trzeba jeszcze dodać, że te zasady ukazują oczom uczonego, a nawet oczom początkującego studenta, jasny blask najszlachetniejszego celu. I już nie próżne tylko pragnienie wiedzy skłania go do spotęgowania swej pracy, lecz gorąca chęć służenia dobru ludzkości, by móc złożyć Bogu hołd wdzięczności Jego stworzeń i powiększyć chwałę Wszechmogącego przez wzniesienie wysoko swych myśli i uczuć. W największym trudzie nie uczuje on się już nigdy samotnym, Bóg będzie z nim, chroniąc umysł jego od błędów, a jego wolę od wpływów, mogących zachwiać w nim miłość prawdy. Jakiż to zaszczyt i jaka radość stanąć w szeregach tych, dla których podstawą i szczytem wiedzy jest poznanie Boga, oraz praca dla Boga, z samym Bogiem, przez Jezusa Chrystusa, z Jezusem Chrystusem!

Niezwykle poważne i doniosłe zagadnienia stają przed inteligencją naszej epoki. Przypomnieliśmy sobie kilka najbardziej aktualnych. Pragnę jeszcze dodać, że w miarę jak ludzkość cywilizuje się, narzuca się jej konieczność ścisłego określenia metod, za pomocą których myśliciele i uczeni będą mogli spotęgować swą zdolność poznawania. Pod wpływem filozofów XVIII wieku, a później Russa i rewolucjonistów, którzy do wszystkich form działalności chcieli stosować swoje zasady polityczne i społeczne, wolność stała się w ogólnem mniemaniu najdoskonalszym środkiem, a raczej wyłącznym czynnikiem postępu, tak umysłowego, jak moralnego.

Ale wolność jest wtedy tylko owocną, gdy rozwija się ją odpowiednio do swej natury i do swych celów; potrzeba jej ciągle przeciwwagi, uzupełnienia, władzy hamującej — mam na myśli autorytet. Związek tych dwóch sił, jednej, płynącej bezpośrednio od Boga, światła i mądrości nieskończonej, i drugiej, którą posiada człowiek, mając groźny zaszczyt używania jej świadomego i z pełną odpowiedzialnością, związek ten, jest zasadniczym warunkiem wszelkiego postępu. Gdy autorytet wykonuje swe zadanie, wolność nie wątpi już o sobie, może działać odważnie, z wytrwałością i pewnością, gdyż wie, że w chwili niebezpieczeństwa nie braknie jej pomocy.

Nigdzie indziej współpraca autorytetu z wolnością nie jest tak ułatwioną, ani tak korzystną, jak w łonie naszej Matki, Kościoła. Używajcie tego związku na korzyść prac waszych. Nie zaciągajcie się w szeregi, siejące rozterkę między tymi dwoma, wielkimi elementami życia intelektualnego ale walczcie o harmonję zgodną z wolą bożą, łączcie cześć dla autorytetu z miłością wolności, dając w ten sposób dowód przywiązania do religji, ojczyzny i wiedzy; w ten sposób zdobędziecie chwałę i radość, zużytkowując pożytecznie bogactwa swej duszy, które ona otrzymała od Boga i z których przyjdzie wam na progu wieczności złożyć rachunek.

Prosimy naszych Czytelników usilnie, by rozszerzali wśród swych znajomych myśl ofiar i modlitw za ojczyznę. Kartki do Skarbca można nabyć w naszej Redakcji, w cenie 20 gr. za 100 sztuk.

PAMIĘTAJMY MODLIĆ SIĘ O SZCZĘŚLIWY DLA POLSKI WYNIK WYBORÓW!

MÓDLMY SIĘ ZA PRZEŚLADOWANYCH I PRZEŚLADOWCÓW W MEKSYKU!

Od Wydawnictwa.

Prosimy P. T. Prenumeratorów, którzy jeszcze nie uiścili prenumeraty, o łaskawe nadesłanie przedpłaty.

Prenumerata wynosi: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie.

Dla P. T. Nauczycielstwa prenumeratę zniżamy do połowy.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 404912.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków, Pędzichów-boczna 5.